

się drwiąco panna Porecka, i do matki: — chodźmy już mamę.

— Nie uśmiecha mi się wcale tragiczny zgon Julii, — powiedziała swobodnie pani Wanda, — wogóle nie jestem stworzona na bohaterkę.

— A Romeo wzbudza mój zachwyt i rozumem dobrze, że bez Julii nie mógł żyć, — otwierał drzwi pan Jedliński.

— Poco wspominać tak piękne rzeczy w takim otoczeniu, — nachmurzyła się pani Wanda, — szkoda ich.

— O, pani Porecka już odjechała, — odezwała się pani Mniewska, — a dlaczego pan nic nie powiedział o pani Łotuskiej?

— Bałem się obrazić ją, gdybym powiedział, że dla mnie jest Tytania.

Pani Wanda zaśmiała się cicho i, siadając w sanki, dodała:

— Nie bądź pan tak złośliwy.

Pani Mniewska nie rozumiała, co w tem złośliwego, że pani Łotuska jest Tytanią, zresztą mało to ją obchodziło, natomiast dużo jej zależało na tem, ażeby wiedzieć, co oznacza i kim była pani Wud, jak ją określił pan Jedliński. Nie byłaby jednak kobietą, gdyby się była wprost spytała, co oznacza Tytania.

— Nie wiem, dlaczego pani Łotuska miała się obrazić na Tytanię, — mówiła w czasie jazdy do pani Wandy, — przecież to tylko żart... zabawa.

— Zapewne, ale zawsze to nie-miała rzecz, nazwać kogoś zaślepionym.

— Zaślepioną? — udała zdziwienie, — jak to pani rozumie? Ja pojmuję Tytanię, jako kobietę piękną, kochającą nadmiernie, ale szczerze.

— Lecz, jeśli ona, bogini, kocha się w łkaczu, z głową ośłą, — zaśmiała się, — o szczerości nie może być mowy, tylko o zaślepieniu.

— Ach, tak!? Nie sądziłam, ażeby pan Jedliński tak określił pana Szarockiego... to dobre, — śmiała się, — ale pani Łotuska daleka jest od bogini... no i od takiego zaślepienia. Z nudów flirtuje z nim, bo innego nie ma.

Pani Mniewska straciła swadę i humor. Jeśli on panią Łotuską, która mu się dawniej tak podobała, nazwał głupią Tytanią, zakochaną w ośle, to któż jej zaręczy, czy pod panią Wud nie kryje się gorsza złośliwość. Po dość długim milczeniu powiedziała:

— Nie pamięta pani, jaką rolę gra pani Wud i w czym?

— Jaka pani Wud? — spytała pani Wanda.

— Pan Jedliński powiedział, że jestem doskonałą panią Wud... a wypadło mi z pamięci to nazwisko.

— Nie... nie wiem. Spytałem go.

— Ach nie! Mógłby myśleć, że tak bardzo obchodzą mnie jego koncepty.

Zasiedli do kolacyi. Pani Porecka nie mogła zapomnieć, że i ona i córka były tak zaniedbane i niemal ignorowane przez pana Jedlińskiego w cukierni, dzięki kokieteryi pani Wandy, a gdy spostrzegła, jak uprzedzająco usługuje pani Wandzie pan Borowiecki, zwróciła się do pani Łackiej i Ryty z uśmiechem łagodnym:

— Szkoda, że nie było pań w cukierni dzisiaj wieczorem.

— Cóż się tam stało?

— Pan Jedliński rozdawał role na przyszłą maskaradę w naszym zakładzie. Mnie w swej łasce przeznaczył na wojewodzinę, Madzię na kasztelanę...

— Sobie wyznaczył rolę Romea, w swej skromności, — dorzuciła Madzia złośliwie.

— Ciekawa też jestem, jaką rolę ma objąć wobec Julii, pan Borowiecki, — kończyła pani Porecka, zadowolona, że umieściła wreszcie ten frazes, dla którego wszczęła rozmowę o maskaradzie.

Pani Wanda zarumieniała się leciutko z gniewu, zrozumiała intencję pani Poreckiej, ale powiedziała uprzejmie:

— Sądzę, że pan Jedliński, tylko dla przypodobania się pani wojewodzinie i kasztelance

objął niewdzięczną rolę reżysera maskarady i *faute de mieux* rozdawał dowolnie inne role.

Pani Porecka pobladła; nie dosyć, że przez niską kokieteryę zatrzymała ta kobieta przy sobie Jedlińskiego, ale drwi, że on im chciał się przypodobać, a nie pozwoliła mu nawet przywitać się z niemi.

— W każdym żarcie jest pół prawdy, — rzekła z godnością, — i mnie nie dziwna wojewodzina, gdyż mam w rodzie wojewodów, ale, Bogu dzięki, nie mamy u nas Julii, która dla miłości zapomniała o swych obowiązkach.

— To zależy od osobistych skłonności, — odcięła pani Wanda, — jedni wolą żyć chlebem, inni poezją. Co do mnie, wolę być piękną, młodą, kochającą i kochaną Julią, aniżeli wojewodziną, matroną doświadczoną i surową.

— Winszuję, ale nie zazdroszczę, — uśmiechnęła się lekceważąco pani Porecka, — takie pojęcia są właściwe Królewiankom.

Ryta, chcąc przerwać ten złośliwy spór, powiedziała z dobrym uśmiechem:



Jako ciekawa niewiasta rozwinęła papier.

— Ciekawa też jestem, jakie były inne osoby tej maskarady?

— Nie wiem, — odpowiedziała Madzia, — wysłyszmy z mamą i panią Łotuską. To zapewne tajemnica pani Jerzyckiej, a może i pani Mniewskiej.

— Nie mam żadnych tajemnic, — rzekła pani Wanda rozdrażniona, — i nie lubię cenzurowania, to dobre dla dzieci.

— A pani była przy tem? — spojrzała pani Łacka na panią Mniewską.

— Byłam, — odparła zarumieniona, gdyż nie była pewna, co oznacza pani Wud.

— A jaką pani ma rolę? — ciągnęła nieubłaganie pani Łacka.

— Jaką!?... Pan Jedliński coś mówił, ale zapomniałam.

— A ja? — zaśmiała się pani Łotuska, — kim ja jestem?

— Piękną Tytanią, — rzekła pani Mniewska, nie bez zadowolenia.

Pani Łotuska nie wiedziała, co oznacza ta nazwa, uśmiechnęła się dla zwyczaju i spojrzała na swego sąsiada, pana Szarockiego. Ten, po

dobrej chwili zastanowienia, rzekł z odcieniem ironii:

— Przypadek, ten wielki pan życia, odsłania czasem ciemne, duszące chmury i okazuje zdumionym chlebojadom wiekiustą, nagą prawdę. Tytania, precudna bogini, — spojrzał na panią Łotuską, — gardzi bogiem duchów, Oberonem i pieści oślógłowego Spodka, — zaśmiał się sucho, — tak, tak, to bywa i muszę podziwiać, — zwrócił się do Jedlińskiego, — przenikliwą symbolistykę pana.

Pani Mniewska z panią Wandą zamieniły spojrzenie, gdyż uważały obie Szarockiego za Spodka.

Pani radczyni z Jarosławia, siedząca w pobliżu, zawołała nagle:

— Ta co państwo mówicie takim cygańskim językiem? Ni to w pięć, ni w dziewięć, — zaśmiała się, — wymyślacie sobie jakieś przezwiska, a inni nie rozumieją. U nas, w Jarosławiu, jak się bawia, to wszyscy i niema takich osobliwości.

— Czy w Jarosławiu niema teatru? — spytał Jedliński, — bo wszystkie te osobliwości są z teatru.

— Do nas, w Jarosławiu, zjeżdża czasem trupa aktorów, ale grają komedye, a bywało, urząda się i teatr amatorski, a potem tańce. Bawimy się w Jarosławiu, jak na całym świecie, wesoło, po bożemu, przyzwicie.

— A nie grają w Jarosławiu komedyi: „Wesołe kumoszki z Windsoru“? — spytał z powagą Jedliński.

— Może tam, w mieście pańskim, — odparła tonem obrażonym, — bawia się z kumoszkami, nasze towarzystwo w Jarosławiu nic nie ma wspólnego z kumoszkami.

— Ależ, pani radczyni dobrodziejo, — usprawiedliwiał się pan Jedliński, — to jest komedia Szekspira i te kumoszki płatają figle zakochanemu opojowi, Falstaffowi.

— No, już dziękuję za figle kumoszek, — mówiła cokolwiek udobruchana, — czy są one przyzwite?

— I bardzo, — wmieszał się Borowiecki, — chowają kochanka w kosz z brudną bielizną i każą go zanieść do praczki.

— Dosyć, dosyć, — zakryła sobie uszy białą ręką, — jeśli brudna bielizna na scenie, to już dosyć.

— Bielizna w koszu, — zaśmiał się Borowiecki, — a kumoszka, pani Wud, nie pokazuje jej.

Pani Mniewska na wzmiankę tego nazwiska z dodatkiem kumoszka poczerwieniała i zbladła. Nie spodziewała się nigdy, ażeby ją nazwano kumoszką.

— Ta niech mi pan już nie tłómaczy, — zawołała radczyni, — i nie wiem, że panie pozwalają na takie gadanie o bieliźnie i kumoszkach.

— Jakże mamy zabraniać? — zaśmiała się pani Wanda.

— Ta to zależy od taktu kobiety, — tłómaczyła radczyni, — jak on widzi, że kobieta śmieje się z takich bzdurstw, to on sobie pozwala na więcej.

— Pani ma zupełną słusność, — podchwyciła pani Porecka, — taktowna kobieta nie dopuści nigdy, ażeby mężczyzna przekroczył granice przyzwoitego zachowania się, — spojrzała przełotnie na panią Wandę.

— Granice są bardzo nieuchwytnie, — uśmiechnął się Borowiecki, — bo na przykład co złego jest „kumoszka“, a jednak w Jarosławiu oburzają się.

— Przyzna pan sam, — odezwała się pani Mniewska, — że tytuł „kumoszka“ nie uchodzi w dobrem towarzystwie, — spojrzała oburzona na Jedlińskiego, — a nadawanie tegoż, chociażby żartem, jest niewłaściwe.

(Ciąg dalszy nastąpi).